Podróż koleją do Agry miała być krótka; wszak osiem godzin co to jest w porównaniu z trzydziestoma do Kalkuty? I jak to mówią „dobrze żarło i zdechło” tuż przed wjazdem do Delhi, gdzie złapaliśmy dwie godziny opóźnienia. Upał w pociągu był straszny, my coraz bardziej spoceni i głodni, na szczęście weszli do wagonu goście z zupkami „z tytki”, czyli pomidorówką instant. Dokonaliśmy zakupu, wypiliśmy po dwie i jakoś dotrwaliśmy do celu destynacji. Kumar załatwił riksze do hotelu i jak tylko ruszyliśmy spod dworca zauważyłyśmy z Grace, że miasto jest w trakcie transformacji. Po pierwsze mają tu już metro i to metro rozbudowują, po drugie jest bardziej zielono, czyściej niż kiedyś i powietrze lepszej jakości. Podjechaliśmy pod hotel, którego nazwa nic nam nie mówiła i szybko skojarzyliśmy (opiekunowie), że to niegdysiejszy Shanti, tylko po gruntownym liftingu. Grupa miała konkretne plany na Agrę, a ja przy okazji miała swoje prywatne… na ulicy, przy której zwykle coś wynajmujemy, będąc w tym mieście, malutką i pełną precjozów dziuplę ma pewien sympatyczny jubiler. Byłam ciekawa czy sklepik nadal działa, więc nim przyjechały riksze z wszystkimi wyprawowiczami, polazłam w kierunku jubilera i zerknęłam do środka przez brudną szybę i wtedy się zaczęło. Człowiek, z którym handlowałem już parę razy wyskoczył na ulicę, zaczął mnie przytulać, krzyczał, że od razu poznał moje zielone oczy i że zaprasza jak tylko znajdę czas. Zachęcać to on akurat specjalnie mnie nie musiał. „Bój się chłopaku” pomyślałam, mając zamiar ozdobić swój paluch serdeczny jakimś nowym pierścionkiem, nie tracąc wszystkich pieniędzy. A umiem się targować… Chwilę trwało lokowanie się w pokojach, tym bardziej, że Szef zaproponował nam (mnie i Grace) zamianę, co w rezultacie na dobre nam wyszło, bo w tem, w którym już prawie prawie zaległyśmy nie było możliwości połączenia się z siecią. Jakąkolwiek. Wdrapałyśmy się zatem na piętro i po zrzuceniu plecaków polazłyśmy za resztą grupy na rooftop. Wiedziałam co zobaczę. Wiedziałam czego się spodziewać. No i łzy znowu pociekły. Bałam się rozejrzeć wokół, ale zrobiłam to i dostrzegłam, że wzruszyli się młodzi, o Kumarze nie wspomnę. Płakał jak bóbr. Nie wiem dlaczego to tak działa, ale działa. Być może dlatego, że Taj Mahal to pierwsza rzecz, z którą każdy kojarzy Indie, młodzi jadąc na wyprawę też marzą przede wszystkim o tym, żeby zobaczyć to mauzoleum – dowód wielkiej miłości męża do zmarłej przy porodzie czternastego dziecka żony. Bo z dachu zobaczyliśmy Taj Mahal. Wyłonił się i mieliśmy go jak na dłoni. Ta budowla jest jedną z najpiękniejszych, jakie widziałam i wręcz idiotycznie proporcjonalna. Cud po prostu. A po tych wrażeniach Magda P. i Grace poszły do szkoły Anila Gupty, by ustalić ustalić szczegóły projektu, który mieliśmy tam zrealizować zgodnie z założeniami Fundacji Bilingual Future. Ja natomiast zrobiłam przymiarkę do zakupu pierścionka, a nawet dwóch. Mój jubiler zaszalał, zszedł z ceny i w rezultacie transakcję zakończyło dwoje szczęśliwych ludzi. A po nocy w pokoju z cichą klimatyzacją (normą jest tu to, że te urządzenia w hotelach są stare i włączone wydają odgłos niczym traktor podczas żniw), zerwaliśmy się o piątej rano, żeby pójść zobaczyć Taj Mahal, pod którym chcieliśmy być o wschodzie słońca. Zdjęciom z „Tadziem” nie było końca – były sesje zbiorowe poważne i dostojne, zbiorowe z „jajem”, w parach, grupkach i podgrupkach. Tradycyjnie już dziewczyny podniosły na rękach Kumara do zdjęcia , a nas – chłopcy. A potem każdy zwiedzał Taj Mahal na własną rękę. Po powrocie do hotelu zjedliśmy śniadanie, złapaliśmy oddech i pojechaliśmy do Fatehpur Sikri i Sikandry. Oba miejsca związane są z władcą Mogołów – Akbarem, który w Sikandrze jest pochowany w mistrzowsko zaprojektowanym mauzoleum, zaś Fatehpur Sikri miało być z rozkazu Akbara nową stolicą, która choć po dziś dzień uważana jest za cud architektury, nie nadawała się do zamieszkania, bo ówczesne systemy irygacyjne nie były w stanie doprowadzić tam dostatecznej ilości wody. Nie

ukrywam, że nie przepadam za tym miastem – widmo. Jest ono piękne i wygląda tak, jakby dopiero co ludzie stąd wyjechali na urlopie zaraz mieli wrócić, ale zwykle człowiek ma dosyć zwiedzania tego kompleksu po pierwszym kwadransie, bo słońce przypieka czerepy, nie ma drzew dających cień i wiaterek, a miejscowi próbujący opchnąć turystom różne pamiątki są namolni do bólu. Słowem – masakra. Jednak tym razem było jakoś znośniej, mało tego – pokropił deszcz, ciepły jak zupa, ale mokry, natomiast w meczecie nie było dzikich tłumów. Był jeden upierdliwy sprzedawca „lampeczek". Ktoś typa kiedyś nauczył słów „lampy, lampeczki" i ten zapamiętał. A że i do twarzy pamięć ma dobrą, rozpoznał Kumara, przyssał się do grupy i próbował nas oprowadzać, odbierając robotę Szymonowi Paraszurze S. Podkreślał, że nie weźmie za to nic, ale… mamy przynajmniej pooglądać jego „lampy, lampeczki". Znużeni wyprawowicze zerknęli i tyle. Oni na tym etapie podróży nie kupują już byle czego.

A kolejna noc też nie należała do najdłuższych, bo już o 7.30 mieliśmy być w szkole Anila Gupty, w której planowaliśmy przeprowadzić zajęcia dla nauczycieli i najmłodszych uczniów w ramach realizacji projektu Fundacji Bilingual Future. W szkole przywitano nas podczas apelu, który tam „otwiera" każdy nowy dzień. Najbardziej rozczulały te najmniejsze bąble (czteroletnie i niewiele starsze), które w mundurkach w kratkę, z krawacikami na szyjach tupiąc nóżkami jak mali kadeci wykrzykiwali słowa powitania. Starsi uczniowie zawiesili nam na szyjach wieńce z kwiatów, namalowali na czołach czerwone plamki w ramach błogosławieństwa i mogliśmy zacząć nasze pokazy i lekcje. Wypadło wszystko świetnie. Nasi wyprawowicze klarownie wyjaśnili nauczycielom założenia projektu, a potem zabrali uczniów i przeprowadzili zajęcia z wykorzystaniem pacynek i innych gadżetów. Okazali się zaskakująco dobrymi nauczycielami/opiekunami. Maluchy lgnęły do starszych kolegów i koleżanek, przytulały się, a przede wszystkim dobrze bawiły. Nigdy nie zapomnę Marcelka H., który z czułością starszego brata poprawiał kucyki, nakładając przepaskę na głowę maleńkiej panience. Kadra szkoły w Agrze przygotowała dla nas poczęstunek – przepyszny ryż z warzywami. Najedzeni, wzruszeni spełnieni, bo świadomi dobrze wykonanej misji wróciliśmy do hotelu, a potem pojechaliśmy do Agra Fort.

W Czerwonym Forcie zrobiliśmy co trzeba (czyt. zwiedzanie, foty, projekt) , wróciliśmy do hotelu i Magda P. reprezentująca Fundację Bilingual Future ufundowała wyprawowiczom kolację. Poszliśmy na rooftop sąsiedniego hotelu i mając na horyzoncie Taj Mahal robiliśmy sobie zdjęcia, trochę tańczyłyśmy do dobrych polskich przebojów i jedliśmy pyszne dania. Wzruszony Kumar pozował do zdjęć jak finalista Top Model i zarzucał bioderkami w takt piosenek Maanamu. Atmosfera była przednia. A po zmroku trzeba się było zebrać i pojechać na pociąg.